

*Die 5 julii*  
*Dwór w Dydni, południe*

Ojcowski dwór nie pachniał już jabłkami i lawendą jak wówczas, kiedy Jacek wyruszał do Inflant bić się ze Szwedami w chorągwi Szczęsnego Niewiarowskiego. Wtedy wydawał się mały i ciasny, pełen szlachty i czeladzi, gwaru i śmiechów. Dziś był pusty i pomimo iż słońce zaglądało w kominy, przejmował chłodem, jakby z każdego kąta szczyrzyła zęby przyczajona śmierć.

Dydyński przekroczył dwoiste, potężne drzwi do sieni, od dworu dębowe, a wewnątrz lipowe, osadzone na trzech zawiasach i przenitowane ćwiekami na wskroś. Zamek u tych drzwi był z żelazną antabą i klamką, z węgierskimi sztabami wzmocnionymi kunami zawijanymi we framugach.

Sień była wielka i przestronna, sposobna do odprawiania sejmików, zwieńczona w głębi drugimi drzwiami, wiodącymi do sadu. Oświetlała ją żelazna latarnia ze szkła weneckiego – niegdyś dająca ciepły, żółtawy blask oliwy; dziś pusta i zakurzona, ze stłuczoną jedną szybką niczym wyłupione oko cyklopa.

Na lewo półokrągłe drzwi wykończone stolarską robotą, to jest gładkie i nabijane listwami, wiodły do świetlicy, w której przesiadywał Jacek, będąc dzieckiem, i – póki nie dorósł do swego pierwszego podjezdka – ujeżdżał konie na biegunach, tłukąc trzciniową laską służbę i preceptorów.

Świetlica była obszerna, o trzech oknach z weneckimi szybammi oprawionymi w ołów. Dokoła ścian stały ławy, w kącie kafłowy piec malowany w błękitne wzory, na środku zaś rozpięły się dumnie trzy stoły lipowe i dziesięć zydlików misternej roboty, a dla szacownych gości stało kilka krzeseł obitych kurdybanową skórą. Wszystkie zdobione Gozdawą – herbowym znakiem Dydyńskich: podwójną lilią spiętą złotym pierścieniem.

Świetlica nie zmieniała się nic a nic. Ściany wciąż obite były aksamitnymi brytami, tylko materia pociemniała nieco. Na wprost okien nadal widniało malowidło ukazujące upadek Troi.

– Panie Damazy, gdzie ojciec leży? – zapytał Jacek.

– Na drugiej połowie.

– Pokażcie mi najpierw dwór – wychrypiał stolnikowic. – Potem prowadźcie do chorego.

Ze świetlicy było przejście do bocznego, gościnnego alkierza o czterech oknach i dębowych okiennicach, gdzie w łożu z kotarami z altembasu i tabunu oraz na ławach spoczywały pod grubymi kobiercami puchate poduszki, pierzyny i biernaty. Na nich leżały giermaki do łoża, a urynały od małej i dużej potrzeby wsunięte były pod ławy. Kolejne zaś drzwi wiodły na drugą połowę dworu, do izby obitej aksamitem i suknem. Stały tu dwa wąskie łoża dla czeladzi, szafy, skrzynie i ławy. A na tych sprzętach, skrzyniach i ścianach widniały kobierce adziamskie, kilimowe i słupiaste.

Obok była komora, którą wydzielono przez przegrodzenie pomieszczenia drewnianą ścianką. Była to apteczka powstała wówczas, gdy ojciec zaczął niedomagać, aby driakiew i lecznicze wódki zawsze leżały pod ręką. Wiodły do niej rzeżane drzwi z floresami snycerskiej roboty. Stały tu ławy rzeźbione, szafa apteczna z rzeźbami i kilka skrzynek. Kolejne drzwi otwierały się na powrót do sieni.

Po jej drugiej stronie, na wprost, była czeladna, a w niej gliniany, malowany piec, za nią komora i spiżarnia, pod nią zaś zimna i ciemna piwniczka z winami węgierskimi, alikantem, rywułem i małmazją, a także prochem i innymi zapasami.

Z czeladnej boczne drzwi wiodły do alkierza dworskiego, gdzie sypiali pacholkiowie.

– Wszystko jak dawniej – westchnął Jacek. – Panu Bogu dziękować, że nie bywało tu Tatarów.

– Byli konfederaci brzescy – mruknął pan Damazy. – Nie wiem, czy nie gorsi. Aleśmy ich pogonili z powiatowymi chorażkami.

Kolejna izba była czerwona, obita dywańską sztuką i karmazynowym sukniem. To było najpiękniejsze pomieszczenie staro dworu. Wisiało tu ze dwadzieścia obrazów – ukazujących Dydyńskich oraz rozmaite osoby z ziemi sanockiej i przemyskiej. Byli między nimi zarówno Mikołaj, praojciec i całego rodu założyciel, jak i jego synowie: Paweł i Mikołaj wtóry, dziwnym trafem podobny do stryja Szczepana – jeszcze zanim ten stracił pół ucha na sejmiku w Sanoku, kiedy gardłował przeciw Zborowskiemu, a za kanclerzem Janem Zamoyskim – bynajmniej przez szlachtę sanocką nie lubianym. Był i Stanisław Dydyński, co nie powrócił z wyprawy do Wołoch za króla Olbrachta, za którego – jak powiadano nie bez racji – wyginęła szlachta. A także jeszcze starszy przodek – Jan, który zginął, walcząc z Turkami na Wołoszczyźnie, jeszcze przed upadkiem Konstantynopola. Od tamtych czasów wziął się zwyczaj rycerskiego podgalańcia głowy, bowiem zdrajcy Wołosi wieszali polskich rycerzy na przydrożnych drzewach za długie włosy.

Przez całą długość czerwonej izby stały dwa zielone stoły, a pod ścianą służba, to jest kredens, nad którym błyszcząca złocista gwiazda. Przechowywano tam naczynia i zastawę stołową, a więc cynowe misy i puchary, srebrne półmiski, talerze, noże, łyżki, a nawet złoczone grabki, to jest widełki, których jednak żaden z biesiadników nie miał w poszanowaniu. Były też wielkie wiwatowe szklance i puchary, rysowane i złoczone. A także tace i misy, w tym dwanaście augsburskich z figurami, a nawet wielka złocista wanna, w której stał skrzydlaty gryf, z baryłką na grzbiecie, na której siedział Bachus trzymający w jednym ręku złociste grono, przyczynę długów i kłopotów niejednego

szlachcica. Były też ulubione naczynia Polaków, to jest konwie, panwie, czary i nalewaki do wina, którego szlachta wypijała co roku więcej, niż rodziło się w węgierskich i włoskich winnicach. Co znaczyło samo przez się, że różnicę w beczkach fałszowali żydowscy i wołoscy pachciarze, zaprawiając cienkuszka siarką i żółtkami z jajek.

Obok służby w skrzyniach i kufrach nagromadzone było prawdziwe bogactwo dworu Dydyńskich. W skarbczyku zamkniętym na klucz leżały ozdoby – srebrna panna, sztuka wielka z szafirem i diamentem... Właśnie – leżała albo nie leżała, wszelako Dydyński był dobrej myśli. Pochylił się do ucha ekonomy.

– Skarbczyk Przećław tykał?

– Nie śmiał. Jeszcze tu starego pana władza.

– To dobrze. Dziękuję waszmości.

Dydyński odetchnął, wszak w skrzyni poza panną był, jak dobrze pamiętał, łańcuch perłowy we troje robiony, z karbunkułami w złotych klatkach. I jeszcze szkofie, pasy srebrzone i złoczone, zapyony diamentowe, parciane i skórzane mieszki ze złotymi i srebrnymi talarami, groszami i dukatami. Obok stał mały ołtarzyk pięknej roboty, ze szczerozłotą pasją i dwoma posążkami Matki Boskiej i świętego Jana, postawiony na znak, aby Pan Bóg zawsze otaczał opieką swoje zacne sługi szlacheckiego stanu, którzy – w pocie czoła poddanych – pomnażali pieniądze ku Bożej, a przede wszystkim swojej chwale.

A na ścianach były rzeczy orężne i rycerskie, wyniesione – jak mawiał Aleksander Dydyński, kiedy jeszcze kroczył po domu w karmazynowej czamarze – z bitewnych potrzeb i okazji, a tak naprawdę połupione w czasie licznych zajazdów w Sannockiem lub wydarte Żydom, Ormianom i lichwiarzom, zdobyte w czasie bitew w Inflantach i za króla Stefana. Niewesoło byłoby zapraszać w gościnę kasztelana czechowskiego Mikołaja Spytka Ligęzę, bo od razu poznałby kilka sztuk zrabowanych mu w czasie bitwy o roczki przeworskie, w której Dydyńscy wzięli udział po stronie jego synowca Andrzeja. Udział mało znaczny, bo wynieśli z niej guzy i sińce; na szczęście, nie wracali

z pustymi kieszeniami, a z chwałą pana rzeszowskiego urwali tyle, ile zostało w garści.

Na ścianach wisiały zatem dwa złożone pancerze sadzone kamieniami, cztery szyszaki, zbroja husarska cudnej roboty bastardowa, tureckie szable sadzone jaspisami i turkusami, osiem szabel polskich – zarówno czarnych węgierek, jak i zygmunówek. Dwie batorówki, jedna szabla w złoto oprawna, na której krzyżu i skuwce były różyczki z diamentów, po osiem w koło, a dziewięć pośrodku, łubie z kołczanem na czarnym juchcie wokoło perłami sadzone. A jakby tego jeszcze było mało, na łubiu była sztuka rubinowa, w której rubinów było piętnaście, a wokół tej sztuki większej czternaście sztuczek małych z czterdziestoma dwoma rubinami. Całość obrazu izby czerwonej uzupełniały pstrozłociste ławy do siedzenia i kilka skórzanych krzesel.

Przy tej izbie był alkierz przestronny, z łóżem z kotarą, gdzie niegdyś sypiali Przeclaw i Jacek. Obok stały czarne krzeselka dywanowe, sekretarz z szufladami od góry do dołu, gdzie zawinięte w skórę i pergamin leżały wedle porządku wszystkie papiery, przywileje i księgi folwarczne.

Jacek zobaczył wszystko, co chciał. Nadszedł czas na spotkanie z ojcem.

Pan Aleksander Dydyński, stolnik sanocki, dogorywał w alkierzu po lewej stronie dworu. Niedomagał kolejny rok. Cztery lata temu został rażony apopleksją po raz pierwszy – kiedy koń pod nim upadł na łowach tak niefortunnie, że oba łęki złamały się na grzbiecie szlachcica. Pozostał mu po tym uraz w lewej ręce, którą nie mógł nic chwytać, tudzież ból wyniosłego czoła szlacheckiego. Pan stolnik nie przejął się tym zbyt. Na dłoń machnął ręką, bo wodze i tak zaczął na przednim łęku lub owijał wokół przedramienia, ból łba zaś leczył zgodnie ze staropolską recepturą – osuszaniem do dna półgarncowych pucharów w dobrym towarzystwie sąsiadów, rzecz jasna, tych, których nie miał jeszcze okazji zajechać ani wyzwać na szable.

Niestety – przyszła znowu kryska na Matyska. Trzy lata temu do dworu przedarł się – mimo licznych straży – woźny z pozvem

od pana Janusza Zgłobickiego, pozywającego starego Dydyńskiego o więź na trybunał za znieważenie sługi i porąbanie samego pana szablą na uczcie u Marcina Stadnickiego, kasztelana sanockiego. Co było wyjątkową potwarzą, bo po pierwsze: pan stolnik powody do zwady miał pewne jak amen w pacierzu, gdyż to sam Zgłobicki dopraszał się kija, przepiwszy do Dydyńskiego toast nie tym samym winem i ująwszy kielich lewą, a nie prawą ręką. A po drugie: wszystko stało się po pijanemu i zostało zaraz zajadane przez pana kasztelana. Plotka zaś, którą nad kuflem opowiadali złośliwi – iż pan Dydyński, póki był jeszcze w młodych latach, chędożył ustawicznie żonę Zgłobickiego, kiedy ów jeździł za interesami do trybunału ruskiego w Lublinie – nie znajdowała potwierdzenia w żadnych pozwach ani protestacjach. Jak również to, że Mateusz, najmłodszy syn Zgłobickiego, był ipso facto<sup>21</sup> bękartem poczętym z lędźwi Dydyńskiego, bo przecież nie z nawiedzenia Ducha Świętego.

Jak było w łożnicy u Zgłobickich – nikt tego nie wiedział poza kotarami w alkierzu, jednak pozew miał ten przykry skutek, że pan Dydyński w latach sześćdziesięciu swego życia padł rażony apopleksją. I odtąd nie tylko nie władał zupełnie nogami i lewą ręką, ale dzień w dzień coraz bardziej zapadał na zdrowiu. I nie pomogły nie tylko ratunek i opieka medyka Kamlera ze Lwowa, zwanego Camerariuszem, na którego poszło złotych polskich czterdzieści, puszczenie krwi ani ustawiczna lewatywa, upuszczanie żółci, flegmy tudzież olejki, senes, menes, alakabryna i cudowny kamień od głowy bolenia. Nie pomogły też modlitwy franciszkanów z Sanoka ani stara ruska wiedźma Majbutnia, która opluła sownie podłogę wokół chorego, odczyniła urok i złe czary, a potem dwakroć przegoniła upiry i złe duchy, w tym najgorszego i najstraszniejszego biesa siedzącego w kącie za piecem, zwanego Węsadem.

Najbardziej dopomagała jedynie lecznicza wódka z to-ruńskimi piernikami, po której pan stolnik spał sobie długo

---

21 łac. – tym samym

i smacznie na białej pościeli w stanie bardziej błogosławionym niż święty Jan w czasie widzenia babilońskiej ladacznicy. Niestety, nie przywróciła władzy w ciele ani chęci do życia.

I dlatego Aleksander Dydyński leżał teraz – siwy i pomarszczony, z długimi, białymi włosami, wsparty na stosie puchowych poduszek, oświetlony rzędem pełgających leniwie płomyków świec, wychudzony, blady, podobny bardziej do cienia niż żywego człowieka.

Tuż obok niego zasiadała służebna – młoda jeszcze dziewczka z przepysznym warkoczem opadającym aż za siedzenie, a cycami kształtnymi niczym stogi pełne świeżo zgrabionego siana. Miała na sobie marszczoną spódnicę i kabat tudzież czerwone buty, nie była zatem taką pierwszą lepszą służebną od krów, a jej wysokie czoło, szerokie i skośne brwi tudzież migdałowe oczy sprawiły, że serce Jacka Dydyńskiego od razu забиło żywiej. Pomyślał, że wcale nie tak znowu źle miał pan ojciec w łożu boleści, obsługiwany przez ową wiejską Afrodytę. Ciekawe, czy gdyby on dostał w łeb albo po boku w jakimś pojedynku, to owa dziewczka litowałaby się nad swoim paniczem, przynosząc do łoża lecznicze wódki i pierniczki? Ha, może nawet dałaby się przekonać do obdarowania najśłodszy piernikiem, który nosiła na podołku. Stolnikowic chciał już podsunąć się do tej dzierlatki; niestety, obok niej stanął ekonom Damazy Stocki, międląc między grubymi paluchami paciorki różańca.

Zbliżyli się zatem z Przeclawem do łoża, przeżegnali, a potem padli na kolana i ucałowali kolejno chłodną, pomarszczoną jak pergamin prawicę stolnika.

Przez chwilę panowała cisza; Jacek zwątpił nawet, czy jego rodzic jest w pełni zmysłów. Jednak mylił się.

– Synaczkowie moi najmilsi, umiłowani! – rzekł stolnik cichym głosem. – Żrenice oka i duszy. Oto jesteście ze mną w tej ostatniej chwili, jaka dana mi jest od Jezusa, zanim Ojciec Niebieski powoła mnie na sąd wiekuisty.

– Waszmość pan ojciec przeżyjesz nas wszystkich – zaprotestował Przeclaw, a Jacek potwierdził skinieniem głowy.

– Cieszę się, że wracacie w dobrym zdrowiu, zwłaszcza ty, Jacku – na takie dictum Przeclaw łypnął okiem niechętnie na starszego brata – i ty, mój umiłowany synoczku, kości z kości mojej, a duszo mej duszy, Przeclawie... – Tym razem zły wzrok Jacka spoczął na młodszym z Dydyńskich.

– Przybyłem najrychlej jak mogłem na wezwanie, aby ci, panie ojcze, do nóg upaść i dobrego zdrowia życzyć – zaczął przebiegle Przeclaw.

– Przybyliśmy! – uzupełnił groźnym głosem Jacek. I zacisnęła wargi. Dziwne, że jego ojciec dopiero teraz, na łożu śmierci, uczynił się taki wylewny. Szkoda, że takie słowa rzadko padały z jego ust, gdy byli jeszcze pacholętami.

– Wieczne dzięki wam składam. Ale niepotrzebne modły i westchnienia, synowie. Już pędzi po mnie panna nadobna, lecz koścista. Pani śmierć. Po każdego przyjdzie z czasem, po jednych szybko, innym się odwlecze, ale ich los nigdy nie uciecze. Już czuję, jak jej suche kości targnęły się na moje wolności. I nic nie poradzi ani nobile verbum<sup>22</sup>, ani nasze polskie liberum veto<sup>23</sup>. Nie pozwalam w taniec z tobą, pani, ty mnie przecież ciągniesz z sobą... Niestety, nie przyda się tu ani protestacja, ani szabelka, ani apelacja, ani tym bardziej mocja. Bo jaka apelacja może być do trybunału niebieskiego, gdzie święty Piotr i archanioł Gabriel sądzą? A jaka mocja, kiedy sędzią najwyższym i ostatecznym jest Ojciec Niebieski? Który woźny pozew mu doniesie?

– My doniesiemy, jeśli trzeba – odezwał się Jacek. – Medyków wam trzeba lepszych niżli ci szalbierze, którzy zdrowie szlacheckie odmierzają czerwonymi złotymi!

– Ja już dostałem jedną dylację, odroczenie od wyroku Pana na rok i sześć niedziel – rzekł łagodnie stolnik. – Drugiej, czuję, nie będzie. Panie Damazy – zwrócił oczy w stronę ekonoma – jak rozumiecie, umrę?

22 łac. – szlacheckie słowo

23 łac. – wolne, nie pozwalam



– Umrzesz waszmość – pokiwał głową Stocki.

– A kiedy?

– Może dziś, może jutro.

– Nader to przykre, niestety, które śmierć skacze balety...

Przyniescie papier i kałamarz, kiedy z synami skończę rozmowę.

Testament, pomyślał Jacek i serce skoczyło mu do gardła. Podyktuje testament. Lepiej późno niż wcale.

Stolnik poruszył się na łożu, jęknął cicho, aż służka siedząca u wezłowania uniosła głowę.

– Wszystko to marność nad marnościami – wymamrotał. – Co to za życie, skoro się nawet wysrać nie mogę o własnych siłach. Panie Damazy, a i ty, Jadwiniu najmilsza, zostawcie mnie samego z synami. Mam z nimi do pomówienia o sprawach, które przeznaczone są dla naszych uszu i nikogo więcej.

Damazy pokiwał głową, skłonił się, wyszedł. Tak samo ukłoniła się służąca. Zamknęli drzwi, zaryglowali. Jacek i Przecław zostali sam na sam z chorym, w ciemnym pokoju pełnym zapachu olejków i zimnego oddechu śmierci. Ojciec rozkasłał się, strużka śliny pociekła mu z kącika ust.

– Zaprawdę słusznie powiadają: uczynki swoje jako poduszki ze sobą weźmiesz, na których tak się wyśpisz, jako zgotujesz sobie pościel. Marne życie, gorsza dola, piekielna niemoc! Toż ja nawet Jadwini za tyłek schwycić nie mogę – narzekał stolnik. – Patrzenie! – Ujął prawą ręką lewicę, podniósł ją i zbliżył do świecy. Choć przejechał palcami i wnętrzem dłoni po płomieniu, na jego twarzy nie zaznaczył się żaden grymas. – Nic nie czuję. A ona, szelmutka, kiedy mi ze szczętem czucie odjęło, zaczęła jak na złość po lewej stronie łoża przysiądać! Wiedziała dobrze, że na lewicy rękę mam słabą!

– Nie desperujcie, ojciec – rzekł Jacek. – Może kazać cię na kolasę włożyć i do samej Ostrej Bramy powieźć?

– Powieźcie mnie lepiej w kapciach na cmentarz. I daj Bóg, aby obyło się bez zwady – westchnął stolnik. – Słyszałem krzyki na podwórzu. Co się stało?

– A, nic.

– Jak to... nic?

– Konie się pokopały – rzekł szybko Przeclaw, popatrując na brata. – I czeladź troszkę powadziła. Ale już spokój.

– Zdaje się, że słyszał świst szabel – mruknął stary rębajło. – Ale może mam już omamy. To wasza sprawa, jak sobie życie ułożycie. Apeluję wszakże, aby pocziwe a stateczne było, bo nie chcę spoglądać z nieba na synów banitów i wywołańców.

– Będziemy stateczni i uczciwi – obiecał Jacek, aczkolwiek nie mógł przysiąc, że ślubuje także za brata.

– Zbliźcie się i posłuchajcie – wycharczał ojciec. – Chcę bowiem rzec wam coś ważnego. Nie, nie o testamencie. – Machnął ręką, ucinając wszelakie wątpliwości braci szybciej niż cięciem szabli. – Ten sporządzą niebawem i nikogo nie ukrzywdzę. Podzielę wszystko uczciwie, na pół. Nikogo nie pomnę.

Rozkaszał się i przez chwilę stękał. Przeclaw znowu był pierwszy – uprzedzając Jacka, poprawił ojcu poduszkę pod głowę.

– To, co wam rzeknę – wydyszał z wielkim trudem – jest jakoby wyznaniem mej wiary. Będę mówił długo. I o strasznych rzeczach, których nawet nie podejrzewacie. O grzechu, który obciąża cały nasz ród i dwie jego gałęzie, które biorą swój początek od was.

Mowa, pomyślał Jacek. Będzie gadał o tych paru zwadach i zajazdach, których się dopuścił. O zajechaniu spichrzy w Sandomierzu panu Michałowskiemu. O bękartach nałożnicy Kuśmidrowej. I o oćwiczeniu mieszczanina Czeczotki, co się był pisał Dydyński z Dydni. Frant był z niego niezły, bo kiedyśmy go schwytali w Krakowie, a pan ojciec kazał kije moczyć i sznury dziegiem smarować, chciał się wykpić, że on nie Dydyński, ale Dynowski. A inni ludzie tak nieszczęśliwie jego nazwisko przekręcili na nasze. Ale i tak wziął na łeb basarunek i podziękowania, że do sądneho dnia na rzyci nie usiądzie!

A zajazdy na Zaderewiec i zbrojna intromisja, czyli wwiedzenie do Temeszowa... No trudno, siądziem z bratem na koń i jakoś to będzie. Zabitych się zapłaci, porąbanych zajedna.

– Mój ojciec Mikołaj, a wasz dziad – wycharczał stolnik – miał dwóch synów. Mnie – Aleksandra, i jeszcze jednego – Michała, prócz trzech córek.

I jeszcze większej liczby bękartów, dodał w myślach Jacek. Wszak taki był z dziada birbant i jebaka, że żadnej dziewczce nie przepuścił, choćby była kulawa i zezowata. Chromej zwłaszcza, bo uciec nie mogła.

– Pomnicie, kto to był Michał Dydyński?

– To nasz stryj, zginął dawno temu śmiercią bohatera. Pod... Smoleńskiem? – zapytał Przeclaw.

Słyszeliśmy tę historię setki razy, uzupełnił w myślach Jacek. A na głos powiedział:

– Twój brat, ojczcie, zginął ubity przez Moskali przy zdobywaniu Połocka. Roku Pańskiego tysiąc pięćset sześćdziesiątego trzeciego, jeszcze za panowania króla Augusta Jagiellona. Nie pierwsza to krew, jaką Dydyńscy przelali dla ojczyzny.

– Opowiadaliście nam o tym wiele razy – mruknął Przeclaw. – I prawdę rzekłszy, znamy na pamięć każdy szczegół tej historii, nie wyłączając twego cudownego ocalenia i okrucieństwa Moskali.

– Opowiadałem, jak było – przerwał mu dyszący jak kowalski miech ojciec – i powtarzałem dziesiątki razy wszystko, co się wydarzyło w Połocku. Po to, abym sam uwierzył w te bajędy. Albowiem konfabulowałem w kwestii zakończenia, które wisi niby katowski miecz nie tylko nade mną, ale nad całym naszym rodem.

Zapadła cisza. Słyszeli tylko trzeszczenie knotów u świec i ćwierkanie wróbli za oknem. Jacek pomodlił się w duchu do świętego Szczepana o cierpliwość. Że też ojcu zebrało się na wspomnianie rodowych historii, zamiast polecać duszę Panu. Akurat teraz, gdy Jacek miał zamiar przejrzeć księgę powinności poddanych Dydni, aby przekonać się, czy Przeclaw i Tobołka, przy niewątpliwym udziale Smoliwasa, nie zarwali przypadkiem nieco więcej pieniędzy niż należne im sumy, na przykład zmuszając chłopków do pracy w niedziele i święta.

– Prawda kole mnie jak cierń. To nie Moskale zabili mego brata. Ja go im... wydałem. Zgubiłem Michała Dydyńskiego! – jęknął ojciec tak rozdzierająco, że Przeclaw i Jacek poderwali głowy jak dwa spłoszone żrebaki. – Wydałem Moskalom podstępnie jak pies, syn najgorszej matki, szelma i swawolnik. Było nas dwóch do podziału. Całkiem jak was. Zrobiłem to, aby... pozostał jeden. Zagarnąłem cały majątek mego ojca, a waszego dziada.

– Rozum wam się pomieszał – rzekł zadziwiony Przeclaw. – Dziesięć... Nie! Sto i jeden raz powiadaliście nam, że Moskale usiekl Michała na wałach. Nie gadajcie nam teraz byle czego, panie ojcze, bo krew w was się burzy, a przecie jesteście nam jeszcze potrzebni. Dość tego, dosyć, ojczulku, starczy już...

– Kiedy Moskale weszli do miasta – stolnik jęczał dalej swoje i nie zważał na słowa młodszego syna – i utopili w Dźwinie Żydów, przebraliśmy się z bratem za czeladników, ukryliśmy się w domu Wołkowa, bojarzyna, który był wierny królowi Zygmuntowi Augustowi, razem z kilkoma towarzyszami z naszej chorągwi – Jędrzejem Uspieńskim, który był jeszcze młodszy ode mnie, i Marcinem Haraburdą. Michał i inni posłali mnie na przespiegi, miałem zagadać z kupcami na targu, aby wywieźli nas z miasta. Ale fortuna mi nie sprzyjała. – Zakrzuszył się i zacharczał, przez dłuższą chwilę rzeził, jakby właśnie przyszła na niego ostatnia chwila.

– Powoli, panie ojcze. Nie gorączkujcie się, bo wam jeszcze żyłka pęknie – rzekł Jacek, całkiem nieprzejęty tą historią. – Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Odpocznijcie.

– To ja wam mówię, pieskie syny, że zdradziłem brata, a waszego wuja, a wy mi każecie zażywać wywczasów?! – wycharczał z furią stolnik. – Wiedźcie, że idzie tu o honor naszego całego rodu. Nie mnie, ale was wytykać będą palcami jak lądacznice na świętej procesji! To, co uczyniłem, ściągnęło hańbę na cały nasz ród!

Jacek otworzył usta, chcąc coś rzec, ale zamilkł w pół słowa, jak gdyby właśnie teraz poczuł wagę słów starego stolnika.

– Na targu dojrzał mnie zdrajca, Fiodor Hynczewskij, ruskim bojar, co przeszedł na stronę moskiewską. Chciał powlec do carskiego wojewody. Prosiłem i groziłem, by mnie puścił... Żądał pieniędzy. Wtedy powiedziałem mu, gdzie ukrywa się brat. Mógłbym wypierać się i płakać, że mnie zmusili, wzięli na męki. Nie, syneczku. Ja go wydałem świadomie, wiedząc, że po jego śmierci odziedziczę Dydnię i inne wioski. Moskal puścił mnie w zamian, wyprowadził za bramy, kiedy już Michał Dydyński był w łańcuchach, bo Haraburda i Uspieński nie dali się wziąć żywcem!

Przeclaw bezskutecznie starał się poprawić słomianą poduszkę pod głową ojca. Starzec charczał i dygotał, szarpał głowę i osuwał się coraz niżej w morze pościeli.

– Dostał się do niewoli – rzekł Jacek – ale cóż z tego? Nie mogłeś go wykupić?

– Mojego brata przykuli do armaty... Powlekli do Smoleńska i dalej – do Moskwy. Bóg jeden wie co się z nim stało. Szukałem go potem, chciałem pomóc. Ale strach mi było jechać do Moskwy, gdzie Michał przepadł jak igła w stogu siana. Nigdy nie wrócił. Ja przejąłem wszystko. Wioski i przysiółki, role i młyny, majątności, dzięki którym stałem się możliwym panem, a wy będziecie posesjonatami. Dzięki tej zbrodni dzisiaj trudno policzyć nas między zagonowych szaraczków albo jednowioskową szlachtę, bo za szerocy jesteśmy, synaczku. I za wysocy. Wszystko to dzięki zdraździe!

Stolnik zaszlochał. Płakał w łóżu, a grube łzy spływały po pomarszczonych policzkach. To były dwie pierwsze łzy, które Jacek ujrzał na ojcowskim obliczu od czasu pogrzebu ostatniej żony stolnika, a swojej macochy.

– Ja nie pociągnę długo – biadał starzec. – Miałem sen... Nie wiasta w szacie czerwonej wraziła mi nóż tak głęboko w piersi, że mi się zdało, że sam na własne oczy widział ranę otwartą. I zdało mi się, że jej oblicze to łeb obmierzły hydry szaleństwa i zdrady – choć pierwiej zdała mi się podobna do starej murwy przemyskiej – Katuszy. Hydry, której złożyłem w ofierze Michała.

Bracia milczeli, bo po prostu nie wiedzieli, co myśleć o niezwykłym wyznaniu ojca.

– Módlcie się za duszę stryja. Odmawiajcie godzinki w jego intencji, bym kiedy stanę przed nim nagi i bezbronny, miał choć wasze słowa za wsparcie.

– Uczynimy, jak każesz – rzekł Jacek. – Wspomnimy Michała dobrymi egzekwiami, aż jego skołatana dusza znajdzie wiekiusty odpoczynek.

– To dooo...brze... – wycharczał starzec. – Zbliźcie się.

Podeszli bliżej i padli na kolana, gdy wyciągnął jedyną zdrową rękę i po kolei dotykał ich głów.

– Panie konający, przez Twoje i Matki Twojej skonanie daj, abym w łasce i opatrzony Najświętszym Sakramentem z tego świata zszedł. A wam, synowie mili, daj wieczne zdrowie i wsparcie na tym nędznym świecie. Abyście mieli siły modlić się za mną, gdyż moja dusza potrzebuje waszego wsparcia.

– Módlmy się zatem – zaczął Przeclaw – w intencji odkupienia winy. Tak długo musiałeś żyć z brzemieniem na sercu, lecz uwierz mi, że widząc czystość twych intencji, a zwłaszcza nasze ofiary i datki za spokój twej duszy, brat Michał odpuści ci wszystkie dawne winy i nie będzie pozywał do takiego sądu, gdzie sędzią, starostą, a nade wszystko katem... jest Lucyfer.

– Lepiej módl się, zamiast krakać, bracie – uzupełnił Jacek.

Modlili się długo i żarliwie na kolanach. Modlili się i wówczas, gdy ktoś zastukał do drzwi, a kiedy stolnik odpowiedział słabo, że można wejść, do alkierza wśliznął się Damazy z marsową miną. Pokłonił się i rzekł:

– Przyjechał jegomość pan Oźga, starosta trembowelski.

Ojciec poruszył się w łożu i wyraźnie ożywił. A bracia, słysząc to nazwisko, wymienili między sobą krótkie, ale wyraziste spojrzenia, które mówiły o wiele więcej niż słowa.

*Ażaliż to nie Piotr z Ossy Oźga, starosta trembowelski i stryjski?*

*Tenże sam to! Nie może być inaczej!*

*A po cóż on tu?*

*Miejmy nadzieję, że jeno na pogrzeb przyjechał.*

– Jegomość starosta, mój wierny kompan i przyjaciel – jęknął Aleksander Dydyński. – Niechaj wejdzie, niechaj przestąpi me progi. A wy, synkowie, powstańcie z kolan i oddalście się, bo muszę pogawędzić ze starym druhem.

Oczy braci były teraz okrągłe nie jak spodki, ale niczym złote talerze gdańskie, warte dwa i pół złotego za sztukę.

– Mianowałem imć pana starostę trembowelskiego wykonawcą i egzekutorem mojej ostatniej woli, synoczkowie – bąknął stolnik. – A to z zapobiegliwości, aby nie doszło między wami do jakichś scysji, których moja skołatana dusza pragnie równie mocno, co nowego ataku podagry.

Bracia ponownie porozumieli się bez słów.

*To ten! Jezusie, tenże sam.*

*Ów statysta z Trembowli! Bicz na wywołańców i warcholów!*

*On Annie Chodkiewiczównie-Koreckiej Borek i Skalat odjął na Rusi!*

*Polickich wygolił z majętności!*

*Sałatę zbójcę pojmał i do Lwowa dostawił!*

*Gorze nam, bracie!*

– Udajcie się do świetlicy, moi synoczkowie, a nas ostawcie z panem starostą. Muszę spisać z nim ostatnią wolę. A o was sławetny Tobołka będzie miał staranie.

– Imć Tobołka słabuje – rzekł cichym głosem Jacek.

– Jakże to? Przecież był u mnie dziś rano?

– Sami o siebie zadbamy, panie ojczcie – mruknął Przeclaw. – I pomodlimy się za was.

A potem ukłonili się zamasyżycie i wycofali z alkierza.

I kiedy siedli już w świetlicy, wspominając ojca, hajducy otwierający bramę i most przed ludźmi starosty trembowelskiego podśpiewywali sobie pod wąsem, zerkając na dwór, w którym dogorywał pan Dydyński, starą, lecz jakże wesołą piosnkę czeladzi:

*Łajał, bił obuchem*

*A teraz leży do góry brzuchem.*